

● Jaki jest dziś czas dla aktorek tak doświadczonych jak Pani?

— Trudny, również dlatego, że trudno jest się wycofać z życia względnie aktywnego. Nie ma w tym jednak nic nadzwyczajnego, powiedziałabym, że to po prostu naturalna kolej rzeczy. W teatrze wydarzyło się coś, z czym nie wszyscy mogą sobie poradzić. Nawet ci młodzi, którzy zupełnie inaczej wyobrażali sobie swoją sytuację po studiach. Może tylko ci najmłodszy, którzy teraz kończą studia, są już jakoś przygotowani do nowych czasów. Aktorzy są więc bardzo zdenerwowani, znacznie bardziej niż ja, bo mnie to już nie dotyczy.

● O tyle jednak dotyczy, ponieważ jest Pani ciągle aktywna i wciąż odnosi sukcesy zawodowe.

— Nie przesadzajmy z tymi sukcesami. Przynajmniej z takimi, o jakie mi chodzi.

● Tak wiele Pani od siebie wymaga?

— Kiedyś od siebie wymagałam i, być może, były tego jakieś efekty. W tej chwili mało gram, ponieważ związałam się z Teatrem Dramatycznym, który miał kupić p. Kubiak, przez co wieloletnie targi zdemontowały nam scenę. W rezultacie, teatr został zaanektowany przez spektakl „Metro”, a nas stamtąd wypchano. Stało się to po premierze „Nie-Boskiej komedii”, której wystawienia, prawdę mówiąc, nie da się dzisiaj niczym usprawiedliwić. Reżyser wyobraża sobie nie wiadomo co, a nie zdaje sobie sprawy, że publiczność widzi tylko to, co widzi, a nie to, co on chce widzieć.

● Zatem romantyzm się skończy?

— W pewnej mierze tak. I słusznie. To przecież pewna forma paranoi, kompletnego oderwania myśli od życia. Co ma o tym myśleć dzisiejszy tzw. przeciętny widz, który na co dzień używa 20 rzeczowników i jednego czasownika? Kiedyś miałam okazję rozmawiać z pewnym inżynierem, który bardzo się dziwił, jak można wyrażać coś mową wiążaną. Jemu się to z niczym nie kojarzyło.

● Co więc będą grali polscy aktorzy, jeśli nie repertuar romantyczny?

— Można się spodziewać, że nic.

● Koniec z aktorstwem?

— Chyba jednak nie koniec, tylko po prostu dół fali. Życie przecież faluje. Coś w nim opada, potem się wyrównuje, a następnie pnie się w górę.

● Czy zatem nie należy uczyć współczesnego teatru?

— Trzeba. Czas to zresztą ze sobą niesie.

● Czy nasze aktorstwo nadąża za czasem?



Fot. Leon Myszkowski

— Tak. Co parę lat opuszcza szkołę teatralną ktoś naprawdę wybitny.

● Nie ma jednak dla tych ludzi repertuaru w teatrze czy w filmie...

— W filmie z równym powodzeniem mogą grać czasem i amatorzy. Wybitni aktorzy na pewno potrafią uwspółcześnić teatr. Problem jest oczywiście z repertuarem polskim. Bo zachodni dociera do nas w małych ilościach ze względu na brak tych nieszczęsnych zielonych banknotów. Niedawno grałam w Teatrze Ateneum studyjne przedstawienie Becketta, lecz po kilku spektaklach trzeba było je przerwać z powodu tan-tiem.

● Jak więc, cieszy się Pani szacunkiem młodych aktorów. Co Pani im radzi?

— Mówię im, żeby żyli normalnie i nie bali się pracy, bo każda produkcja aktorska jest doskonałą sposobnością do zdobywania doświadczeń i pewnego lu-

zu, tak koniecznego w naszym zawodzie.

● A dlaczego Pani została aktorką?

— To dość długa historia. Ja jestem osobą z prowincji, gdzie zupełnie inaczej wychowuje się młody człowiek, który nie ma okazji obcować z teatrem. Kiedy na komisji egzaminacyjnej w szkole aktorskiej powiedziałam, że jeszcze nigdy nie byłam w teatrze, wszyscy byli bardzo rozbawieni. Moje wyobrażenie o teatrze znacznie się więc różniło od wyobrażenia tych, którzy mieszkali w Warszawie, Krakowie czy Poznaniu.

● Co więc zaprowadziło Panią do aktorstwa?

— Może pewien rodzaj mego temperamentu oraz to, że od dzieciństwa zlecano mi usługi typu recytatorskiego, a to z okazji święta 3 maja, 11 listopada, śmierci Piłsudskiego czy zastrzelenia Pierackiego. Dość wcześnie odkryto ten mój talent i namówiono mnie na aktor-

stwo. Poszłam ostatecznie na ten egzamin, aby się dowiedzieć, czy był to właściwy wybór.

● Okazało się, że był. Czy pisze Pani książkę o sobie?

— Wie pan, kiedy wszyscy krzyczą „hurra” ja wtedy cichnę, ponieważ uważam, że za dużo jest hałasu. Kiedy więc wszyscy piszą książki, ja mam ochotę nie tylko nie pisać, ale i nie czytać.

● Nie lubi Pani wspominać swoich sukcesów?

— Powinien to robić ktoś inny. A jeśli tego nie robi, to sprawa po prostu przepadła.

● Zrealizowała Pani swoje marzenia aktorskie?

— Myślę, że w złym guście jest przyjść do teatru i marzyć.

● Żył Pani bez marzeń?

— Oczywiście. Po co marzyć?

● Marzenia wzbogacają...

— To kiepska literatura z XIX wieku. Oczywiście, że każdy ma jakieś życie wewnętrzne. Ale ma to dla siebie.

● Za to na pewno była Pani ambitna...

— Jestem ambitna w innym sensie. Nigdy w życiu nie prosiłam żadnego dyrektora o rolę i o podwyżkę. Jestem komuś potrzebna — bardzo proszę. Nie jestem — żegnam.

● Czy Pani dzieci, Katarzyna i Piotr Hanuszkiewiczowie, są aktorami?

— Bogu dzięki, nie. Katarzyna popełniła ten idiotyzm i studiowała w szkole teatralnej, ale, na szczęście, zajmuje się dziś czym innym. Syn skończył reżyserię, ale jest to chyba przypadkowy jego wybór.

● Dlaczego przypadkowy? Ma przecież matkę, wybitną aktorkę, i ojca, znanego reżysera...

— Szczerze powiem, że coś mnie odpycha od tego, żeby dzieci szły w ślady rodziców. Zwłaszcza w naszym zawodzie, w naszym dziwnym środowisku. Dzisiaj wracamy jednak do normalności. Będą dziś aktorami tylko ci, którzy potrafią, a reżyserowi nie będzie zależało aby zagrała w jego filmie czy spektaklu jego matka, ciocia lub córka.

● To brzmi optymistycznie, mimo wszystko...

— Optymistycznie dla tych, którzy są młodzi.

● Jest Pani pesymistką wobec siebie?

— Nie. Przeżyłam życie w takich warunkach, jakie były, i nie mam sobie nic do zarzucenia. Nie należałam do żadnej partii i nikt mnie dziś nie będzie lustrował. Chcę dodać, że ja bym też nikogo nie lustrowała.

● Dziękuję Pani za rozmowę.

Rozmawiał:
KAZIMIERZ SOBOLEWSKI